

Biuletyn Otrycki

nr 36
2005

Czas miniony

czyli rymowana reklama Vincenza

Na wysokiej poloninie
Stasio patrzył na Huculów
A nie poznasz w jego minie
Wszechpamięci jego cudu

Gdy trembity majstrowanie
Obserwował lypiąc okiem
Albo owiec wełnoobranie
Lub zachwyty nad widokiem

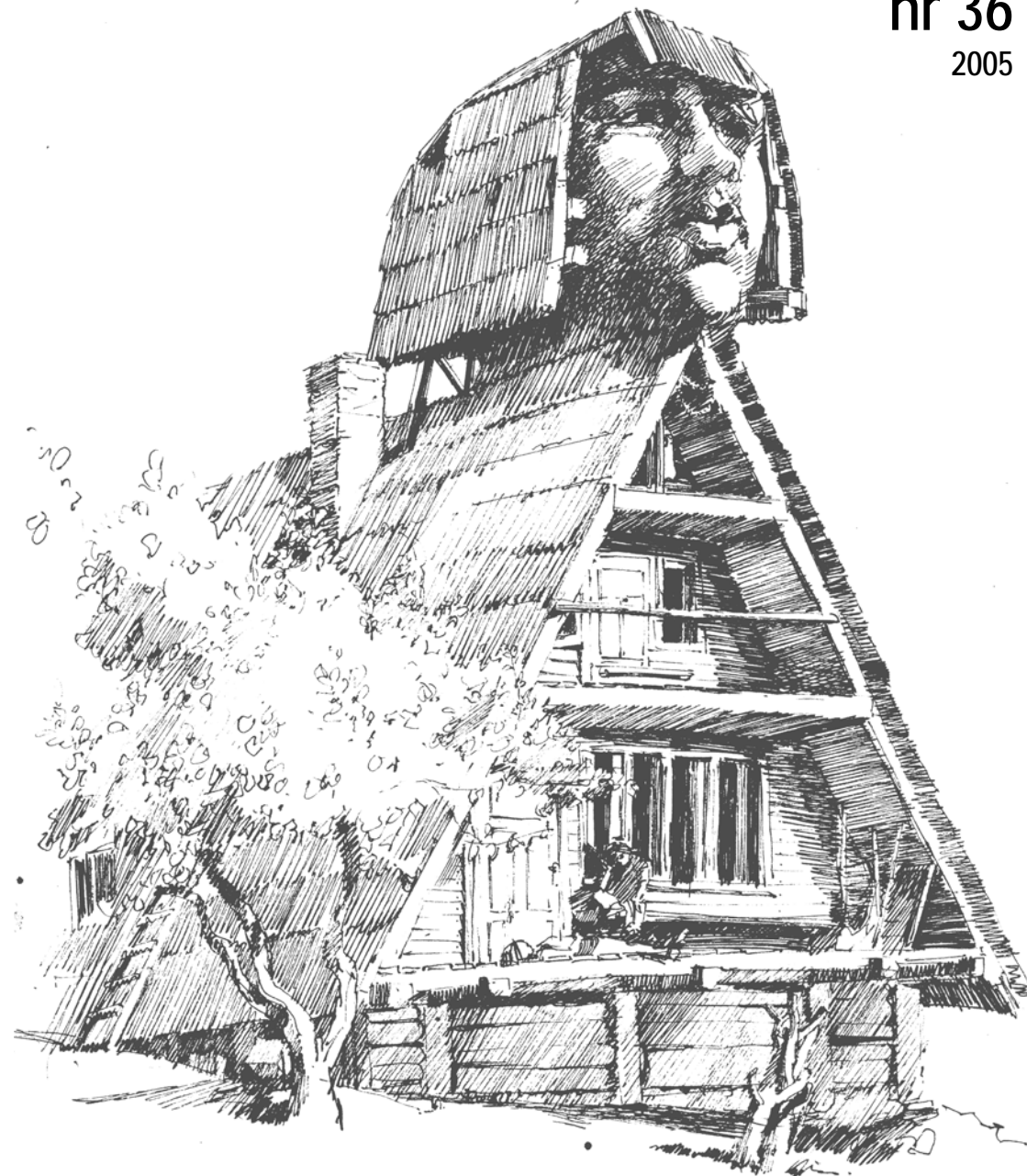
Odkładały się w pamięci
Zaginione górskie światy
Opryszkowie i majątni
Z drewna dwory oraz chaty

Żmije, diabły, Baby Jagi
Święty Ilia, gromy, chmury
Przez otchłanie górskiej sagi
Płyną wolno, bez brawury

A świat taki już zaginał
Powalony maszynami
Ale duchy nie przeminą
Duchy będą razem z nami

W czasie strusi pędziwiatrów
Dobrze czasem się zatrzymać
Pogaworzyć z gazdą Stachem
I rewasze powspominać

Igor Czajka





WSTĘPNIAK

Nadeszło w końcu kolejne Walne Zebranie, kolejny rok się kończy kolejne wspomnienia będą rozgrzewały w długie zimowe wieczory. Chata stoi wbrew wszystkim przeciwnościom losu, dzięki zapałowi, zaangażowaniu, dzięki wierze w słuszność celu, który sobie wyznaczaliśmy. W następnym numerze Biuletynu przeczytacie wieńczące Dzieło - Słowo Naszego Majstra, który przekonał nas, że damy radę i tak nami pokierował, że naprawdę daliśmy radę.

W tym numerze jednak zatrzymajmy się na chwilę nad wspomnieniami. Oderwijmy się na chwilę od bieżących spraw do zalatwienia i pooddychajmy tą atmosferą, która nigdy nie zniknęła, a która tak samo rozgrzewa kolejne otryckie pokolenia. Każdy tą atmosferę odbiera na swój sposób, dla każdego znaczy ona coś innego. Jednak nie można zaprzeczyć, że Duch Chaty nie daje za wygraną i jest z nami, tak samo obecny od trzydziestu paru lat.

Niestety z powodu awarii komputerów i nawału zajęć tandem naszych redaktorek tym razem musiał oddać redakcję Biuletynu w moje ręce.

Zapraszam do lektury!

Igor Czajka

I znowu jestem tu,
w obliczu Poloniny.
W bladym słońcu jesieni
niosącym przymrozek.

Jej wyszczerbiony nóż
ciemnieje w bladym niebie.
Gęste pasemko krwi
paruje znad krawędzi.

I znów stanąłem tu,
w obliczu Poloniny.
Znowu przemawia do mnie
i wciąż jej nie rozumiem.

Tadeusz A. Olszański
Otryt Górny, wrzesień 2003



pełnego koców pokoju. Zrzuciłem zamarznąłą odzież owinąłem nogi kocami i prosząc je żeby nie odpadły zagryzłem zęby w kocu i usnąłem wyczerpany. Kilka dni później okazało się, że sztuka po sztuce schodzą mi paznokcie.

Mimo, że minęło od tamtego czasu kilka lat paznokcie schodzą nadal, co roku - tak jak opadają liście jesienią. I właśnie teraz nadszedł ich czas.

Kuba Drohomirecki 2003

Satyra na Człowieka

Lubię przyglądać się przechodniom,
Zimową porą na ulicy.
Wtedy dopiero wiem i czuję,
Że człek wśród zwierząt nam króluje.

Skórzane płaszcze, tudzież buty
Kolnieże z lisów, z norek futra,
Kurteczka z misia lub na misiu...
Ktoś irchą okulary czyści

Ja więc do niego zagaduję:
Zezwierzęcenie w nas panuje!

On na mnie bykiem tylko spojrzal,
Niedźwiedzią ręką mnie poklepał
Uśmiechem lisim mnie obdarzył,
I wilcze zęby na mnie szczyrzył.

Potem jak sowa zmarszczył czoło i rzekł:
To co? Mam zimą chodzić goło?

Kuba Drohomirecki



Pamiętka z Bieszczadów

Zima już odeszła na dobre, jednak ostatkiem sił sprowadziła w połowie kwietnia nawałnicę śnieżną. Obudziłem się około 10:00. Nie musiałem się nigdzie spieszyć, wszystko było przygotowane dla wiosennych turystów, a pogoda uniemożliwiała prace na zewnątrz. Zszedłem na dół akurat w chwili, gdy kolega wracał z zakupów.

- Dziś pogoda jest dla prawdziwych twardzieli - rzucił w korytarzu zdejmując przemoczone buty. Ojoj... w mojej duszy aż zagrało. Przecież byłem twardzielem, nie wiedziałem tylko, że nie muszę nikomu tego udowadniać. Wypilem gorącą herbatę, ubrałem się trochę cieplej niż zwykle i ruszyłem przed siebie smagany śniegiem i wiatrem. Godzinna trasa nie wydawała się inna niż zwykle. Minąłem dwa z trzech garbów na grzbiecie z przekonaniem, że Andrzej lekko przesadzał w opowieści. I w tym momencie się zaczęło. Trzeci, w sumie najłatwiejszy odcinek grzbietu zamiast 10 minut zajął mi pół godziny. Brodząc w zaspach, krok po kroku zmierzałem do zejścia, nie wierząc, że jeszcze kilkanaście minut temu szedł ktoś tędy w stronę chaty. Zejście odbyło się szybciej niż się spodziewałem. Sypki, nawiany w potwornych ilościach śnieg niósł mnie na dół na plecach nie pytając czy chce minąć wystające gałęzie lub większe piaskowce. Łąka powitała mnie śnieżną pustynią ciągnącą się w białą nicość. Po raz

pierwszy w życiu nie widziałem na wyciągnięcie ręki swojej dłoni. Próbując skrócić drogę jeszcze bardziej ją wydłużyłem. Tak czy siak po dwóch godzinach dotarłem do Lutowisk. Szybkie zakupy, wypite w pośpiechu dwa piwa w gospodzie nie ogrzały wyziębionego ciała nawet o pół stopnia. Jedyne efekty były takie że lodowa skorupa w butach roztopiła się tworząc 2 wielkie kałuże pod stołem. Chwile później byłem już w drodze powrotnej. Wiatr jakby zelżał, a zadymka ustąpiła miejsca zwykłemu jak mi się wydawało opadom. Droga niosła mnie na grzbiet szybciej niż wydawałoby się to możliwe. Na grzbiecie czekał na mnie zimny, północny wiatr. Z każdą chwilą nogi stawały się coraz cięższe, a pokrywa lodowa na butach grubsza. Na ostatnim siodle straciłem przytomność. Stałem przed stromym podejściem próbując zmusić się do tego ostatniego wysiłku. Do chaty miałem już tylko kilka minut, a jednak nie potrafiłem ruszyć się z miejsca. Sekundy dłużyły się jak bezsenne godziny w nocy. Wiedziałem, że jeśli czegoś nie zrobię zostaną w tym miejscu i wychłodzę organizm do końca. Walcząc już nie z zimnem i wiatrem zatykającym płuca doszedłem stopką po stopce do ciepłego, pełnego ludzi domu. Aby nie robić zamieszania zrzuciłem plecak i wdrapałem się po schodach na drugie piętro, do ciepłego,



Stów parę o wyprawie zimowej w Gorgany styczeń 2004

Wyprawa w składzie: ja, Marcin Ząbek oraz Michał Kukuła.

Michał był uczestnikiem przejścia Karpat 3 lata temu. Kontakt nawiązałem przez Andrzeja Wielochę, szefa mojego „Łuku Karpat” z 1980 roku.

Łuk Karpat to przejście 2000 km w czasie jednej nieprzerwanej ekspedycji.

Odbiliśmy parę zebrań organizowanych w moim mieszkaniu. Michał, człowiek z takim dorobkiem jak przejście całych Karpat, wydało się że nie będzie żadnych niespodzianek. Ale niestety często jest tak, że człowiek jak nie odczuje na własnej skórze to nie uwierzy mimo, że tłumaczyliśmy mu, że jest zasadnicza różnica między latem a zimą.

Michał zabrał ze sobą jeden polar i jakiś sweterek wiatrem poszyty.

Kurteczka i śpiwór puchowy go nie ratowały niestety. Z perspektywy czasu który upłynął stwierdzam że to była nasza wina.

Po prostu powinniśmy wymusić na facecie, żeby się zaopatrzył w profesjonalny sprzęt, Tymczasem ustawicznie marzył i to było jedna z przyczyn, że wreszcie się wycofał.

Drugą przyczyną były słabe buty. My z Marcinem tradycyjnie już wzięliśmy skorupy. Michał powiedział, że skórzane buty wystarczą. No więc dobrze. Na to wszystko jeszcze nakładają się problemy materialne, bo skorupy kosztują ok. 1.000,-zł

Tak czy inaczej zemściło się to, bo skórzane buty nie wytrzymały, mróz był wściekły, wiatr 40km.h, Michał podjął decyzję o wycofaniu się czwartego dnia wyprawy po nocy spędzonej za zbroczu Preluki w bacówce w której wiatr hulał w środku przez szpary.

Termometr wskazywał temperaturę minus 27 C. W tej temperaturze nawet benzyna niechętnie reaguje na płomień zapalniczki, zajmując się bardzo powoli, jak na filmie w zwolnionym tempie. Każdy ruch musi być wtedy przemyślany. Wszystko jest sztywne. Pękają klamry od plecaka, pojawiają się trudności z oddychaniem. Czy wiecie jak wygląda sen w tych warunkach????

Człowiek budzi się parę razy w ciągu nocy, mroźne klucza docierają przez cztery polary i puch do kregosłupa. Wydechane powietrze do środka śpiwora zamienia się w lodowych kolumnach na zewnątrz śpiwora. To powietrze, które ma w sobie wilgoć wnika w puch przez pertex i tam zalega w postaci drobinek lodu.

Śpiwór staje się cięższy i zalodzony słabiej grzeje, czasami jest tak zimno, że na kurtce goratexowej od wewnątrz tworzy się warstwa lodu.

Zalodzone są brwi a nawet rzęsy.

Wracając do poranka w bacówce na Preluce. Wstałem o szóstej rano, wbiłem się w sztywne skorupy na nogi,



gotuję herbatę, Marcin i Michał po wyjściu z namiotu rozstawionego w baczności stwierdzili, że była to najzimniejsza noc na całej wyprawie. Michał oświadczył, że podjął decyzję o wycofaniu się, bo jeżeli tego nie zrobi to straci nogi.

Michał zszedł na stronę zakarpacką do wsi i następnego dnia autobusem pojechał do Lwowa. Miał szczęście, bo rzeka, która go dzieliła od wsi była zamrznięta. Po powrocie do kraju stwierdził, że wszystkie nasze ostrzeżenia sobie zlekceważył i to był jego błąd.

My z Marcinem kontynuowaliśmy trasę. Wejście na Basztul trwające 5 godzin, przy 20-stopniowym mrozie i wietrze nadwyrężyło słabe punkty u Marcina. Pechowy stan zapalny panewki ścięgna w prawym nadgarstku, ujawniał się trzeszczeniem przy każdym kroku. I jakby tego było mało Marcin stracił paznokcie u dużych palców u nóg. Jego skorupy były za ciasne, co ciekawe w tegorocznej wyprawie sytuacja ta się już nie powtórzyła, botki wewnętrzne się po prostu ułożyły. Po wejściu na Basztul, czekały nas 2 godziny marszu na skraj lasu. Ale grań była zaladzona, Marcin nie miał raków, a wicher nas kład. Upadek w tych warunkach mógłby się zakończyć tragicznie. W dodatku zamrzł mu suwak w kurtce. Wzięła mnie cholera, musieliśmy podjąć decyzję o wycofaniu się...

Kierunek Osmoloda na północ, dolina Łomnicy 32 km. I tam również nie odbyło się bez przygód. Dolina miej-

scami bardzo wąska, a więc o trawersowaniu stromego zbocza nie było mowy.

Szliśmy po zamrzniętej rzece. Łód miejscami spiętrzony tworzył fantastyczne formy i czasami woda płynęła na wierzchu mimo 15-tu stopni mrozu parując jak z gejzeru. Trzy dni walczyliśmy z tą doliną.

Ale potem w Osmolodzie grzane piwo, koniaczek i jako takie normalne jedzenie.

Czuliśmy się usatysfakcjonowani tę walką.

Po powrocie do kraju, w szpitalu przemyskim, Marcin dostał gips na ten zbolący nadgarstek.

I okazało się, że była to poważna sprawa, decyzja o szybszym wycofaniu się była bardzo potrzebna.

I to tyle w dużym skrócie oczywiście.

Trudno to opisać. Dla pobudzenia wyobraźni, aby zrozumieć te przeżycia można porównać mróz dajmy na to w mieście – idziemy do pracy, siedzimy w biurze, potem wychodzimy na mróz i wracamy do domu, szybko do ciepłego pomieszczenia. Wszystko jest ok. nawet jak trochę zmarzniemy po drodze. A tam nie.

Tam się trwa bez przerwy w mrozie 50-70 godzin, a czasami dłużej.

No ale ja po prostu to lubię...

DON GORE
Piotr Kurowski 2004



tego schroniska, o efektywnych wreszcie pracach remontowych, o wielkiej opiece nad tym miejscem jako takim, o gospodarzeniu co się zowie. O uczynieniu tego miejsca chyba przyjaznym chyba już dla wszystkich. O niezwyklej prawości w jakimś najgłębszym sensie tego słowa - całej rodziny, tak nieprzystającej do charakteru naszych czasów, gdzie można Patrzyć, a wciąż nie Widzieć. Jakże wiele razy tam byłem. Polubiłem wejście od Lutowisk, od Dwernika mniej. Jakże często droga na Wańka Dział - na skrót do stokówki, była drogą mojej samotnej kontemplacji, drogą rozważań o sensie selektywnego składowania odpadów, podczas marszu z Aleksandrem, drogą chłonicia dobrej energii.

Fakt że pojawia się tam... gdy nikogo nie ma, zwykle zmęczony widokiem tłumów, wyczerpany hałasem... chłonąc tylko tą energię leśnej przestrzeni. Ale wiem że Otryt żyje, żyje jak kiedyś... gdy jesienią tam zawitałem odbywał się tam właśnie prawie dokładnie taki sam obóz zerowy chyba studentów łódzkich... i wielkie moje deja vu. Znow dyskutują, znow się spierają, znow grają na gitarach, bawią się i śpiewają. Kolejne pokolenie przeżywa tam fragment swojej młodości. Przeżywają swoje miłości, zauroczenia. Czas niesłychanie potrafi tam przyspieszyć. Czyż nie było i nie jest to pięknym? Pomyślałem teraz - ludzie się zmieniają, ale miejsce i jego Moc się nie zmienia. Każdego może o coś wzbogacić, czegoś nauczyć. Otryt z tą swoją specyfiką bywa też groźny -

niejeden zahaczył tam o próg ewidentnego alkoholizmu, ale gdy nadać temu jakąś rytualno - symboliczną formę to i w tym aspekcie można odkryć piękno. Ale jedno się nie zmienia. Otryt jest czymś specyficznym... i nie wiem jaki wpływ miał Henryk w latach 70-tych na wybór miejsca, ale osadzenie tam schroniska, w mocnym sensie może uznać za jeden ze swoich Wielkich Czynów Na Rzecz.

Ostatni mój pobyt zakończył się dosłownie kilka dni temu. Znow w nowych okolicznościach życiowych. Znow żegnając stare, witając nowe. Tylko Otryt się nie zmienia w swojej atawistycznej apoteozie drewna, smolnego dymu, blasku świec, eterycznego mroku, żywego ognia w kominku - i wspaniałych pełni Księżycy z rojem gwiazd na niebie w wielkiej skupionej ciszy, lub w porywach huczącego wiatru. A on wciąż jest taki sam. I poczułem, że już nie chce wędrować... kładąc się z podpartą głową na ramieniu w ciepłej i przytulnej gościówce i przy świecach czytając piękną powieść Remarque, opowieści o ludziach Łodu itd. W takich momentach czas bywa zaczarowany. Po prostu się jest i wreszcie nie trzeba więcej.

Czego również odkrycia w Waszych osobistych już miejscach Mocy Wam Życzę.

RODMAN
(3 II 2002)



nych już nigdy nie korzystałem - ale moc tych kilku przegadanych wieczorów w otrzyckiej służbówce - aby to wszystko ponazywać, do dziś tkwi mi w pamięci.

Gdy przechodziłem tą drogą kolejnego lata... z pnia tego pozostały jedynie smoliny. Został spalony... prawdopodobnie przez pilarzy.

Po powrocie... poprosiłem o ograniczenie liczby godzin pracy. Zrezygnowałem z życia jak każdy Człowiek...

Z Januszowym gospodarzeniem wiąże się jeszcze inny mój wyjazd w te góry. Był to wspaniały czas babiego lata. Siedzieliśmy jak zwykle sami tj. we trzech. Ja, Janusz i Aleksander Łazarski, w kominkowej w promieniach zachodzącego słońca dyskutując sprawę... myszy. Co zrobić z myszami? Których bezczelność jest już taka, że w ciągu dnia potrafią biegać między nogami. Janusz, jako przekonany wegetarianin... pozostawał wstrzemięźliwy wobec zabijania: no może ewentualnie chwycić w pułapki i znieść na dół. Ja uważałem to za b. mocno nieskuteczne. Wziąć z dołu kota? Janusz stwierdził, że to po prostu nikt inny jak "płatny zabójca". Aleksander zaś w spokoju opowiadał o tym jak kiedyś jeszcze w Krempnej w Beskidzie Niższym myszy nie zgotowały mu losu Popiela, pożerając wszystko, co pożreć się dało. No więc pomyślałem - zabijamy, trudno... krew "niewinnych istnień" zrosi nasze ręce. Trudno może teraz wyobrazić sobie dramatyzm tej decyzji, ale wtedy było jakoś jasnym, że decydując się na zabijanie myszy, nie-

jako akceptujemy i zabijanie ludzi. No dobra, ale przecież myszom schroniska nie oddamy? Dziś można by napisać - pewnie Talibom swego domu też nie. Zaczęły trzaskać taśmowo pułapki (zaczęła się masakra mysiej społeczności na Otrycie, potem ich palenie w piecu - pięknych dużych myszek o futrze jak wiewiórki)

I znowu ten wyjazd czegoś mnie nauczył.

Wspomnę tylko jeszcze o południowej "jaskółce"... miejsce będące niszą nie tylko dla mnie w chwilach, gdy Otryt był mi bliski i gdy byliśmy tam... I to opalanie zimą w promieniach wiosennego już słońca na werandzie. W tej ciszy, może szmerze wyschłych traw słyży się wtedy wręcz przekaz o boskości wszelkiego stworzenia.

Kolejne lata to znowu duchowa obecność do tego miejsca... czasy Kuby, znowu picie, i wycieczki młodzieży na górę by wytrąbić kolejną flaszkę. Bogaci, biedni, wszyscy w jednym celu. Wjeżdżano już samochodem na grzbiet, byle było łatwiej, byle prościej skuć ryja. Omijałem to miejsce w swych bieszczadzkich wędrówkach, czasami wchodząc na grzbiet... i ruszając dalej wiedząc co się święci.

I znowu zmiana!

To znowu czasy Wojtka Ciombora, jego brata Antoniego. Otryt znów dla mnie ożył... mocą niezwykle udanego Warsztatu energetycznego Wojtka Józwiaka <http://www.rodman.most.org.pl/poducha.htm>. Nie będę się już więc o tym rozpisywał. Napiszę więc tylko o roli Wojtka C. w odrodzeniu



IV Dni Filmowe 10-13 listopada 2005

No tak... Dni filmowe... Tegoroczny długi weekend listopadowy w Chacie, spędziliśmy w nie tak znowu licznym gronie (niecałe 40 osób), oglądając filmy ukraińskie.

W starej Chacie podobne imprezy odbyły się kilkakrotnie. Teraz, kiedy mamy nową, wspaniałą Chatę nadszedł czas, aby znowu odbywały się tu obozy i imprezy różnego rodzaju. Jakiś czas temu pojawiło się kilka głosów dotyczących wznowienia dni filmowych na Otrycie, tylko potrzebowaliśmy impulsu do rozpoczęcia działań. W końcu Biały skontaktował się z kilkoma osobami, które znają się trochę na kinie, lub bywały na poprzednich dniach filmowych m.in. Patrykiem, Igozem i Andrzejem Gołosiem i sprawa nabrała rozpędu. Zdecydowaliśmy się obejrzeć filmy ukraińskie. Część dostaliśmy od Tadeusza Olszańskiego i część od mojego znajomego - Marabuta. W międzyczasie były debaty nad terminem, plakatami, kwestiami technicznymi i ostatecznym repertuarem...

Większość ludzi dotarła w czwartek na wieczór lub w nocy. Ja na górę doszłam z Anią Tabaczk i Krzysiem oraz ekipą Piotra Kurowskiego, którą spotkaliśmy po drodze, na miejscu wylądowaliśmy o 2 w nocy, a sporo ludzi już było na miejscu. Powitały nas wiadomości o „drobnym” wypadku,

który skończył się dla Ewy ręką w gipsie na ładnych kilka tygodni.

Atmosfera była super, wszyscy dobrze się bawili. W dzień jak to zwykle bywa na dużych imprezach – trochę lenistwa, woda, drewno do kominka, drobne prace budowlane, zakupy, kuchnia (muszę powiedzieć, że naprawdę potrafimy całkiem dobre jedzonko zrobić na tyle osób) - Andy szalał ze spaghetti, a my z żurkiem (równie pysznym jak spaghetti). Pogoda była super - jesienno, mglisto, momentami wietrznie, ale nie padało, wobec tego spacer, zdjęcia i okupowanie służbówki na mniej lub bardziej poważne rozmowy.

Sporo turystów zachodziło na herbatkę. Byli pod wrażeniem Chaty i oczywiście pomysłu kina na Otrycie. Odwiedził nas również GOPR, przyjechali na ćwiczenia, co po wypadu Ewy wzbudziło dużo radochy i żartów w stylu „jeśli ktoś ma zamiar się jeszcze uszkadzać, to niech zrobi to teraz...”, niestety okazało się, że jednak mamy jeszcze jednego rannego, a mianowicie Michała z uszkodzonym kolaniem. Sympatyczni ratownicy zwieźli go na dół. Muszę zauważyć, że pod względem zdrowotnym nie mieliśmy farta, ale na szczęście, na tym zakończyliśmy feralną serię, a patrząc bardziej optymistycznie zawsze miło jest potem powspominać. A w dodatku lekarze ze



szpitala z Ustrzyk Dolnych zaczynają kojarzyć Chatę Socjologa. (Miejmy nadzieję, że pomimo wszystko nie jest to zła sława...)

Wieczorami (w listopadzie wcześniej się robi ciemno) zasiadaliśmy w sali kominkowej przerobionej na kinową, ze wspaniałym ekranem z prześciera-dła i „fotelami”. Obejrzelśmy kilka filmów – „Cienie zapomnianych przodków”, „Kozaki idut” oraz „Mamay” i kilka filmików z Pomarańczowej Rewolucji, często bardzo zabawnych. Były to filmy głównie historyczne, o Kozakach, bardzo ciekawie pokazywały m.in. stosunek do „nieod-brych Polaków” i różnych odrębnych kwestii, ale aby o tym rozmawiać, to trzeba było być na dniach filmowych i obejrzeć? Żałujcie i zapraszam na następne...

Rekordy popularności biła kronika filmowa w postaci teledysku z Mappetów (jeszcze przez kilka dobrych dni po powrocie, krążyło mi po głowie „Manana na...”, ciekawe czy Wam też??). Nastrój super, dzięki Ani krążył popcorn, oprócz tego od czasu do czasu coś na wzmocnienie. Oczywiście, mimo poważnych treści, często niemłodych filmów, było mnóstwo śmiechu. Jestem bardzo zadowolona, że dużo osób miało ochotę obejrzeć te filmy i co więcej porozmawiać o nich w żywej dyskusji. Co niekoniecznie było łatwe, ze względu na problem z polskimi dialogami. Wszystko odbyło się bardzo sympatycznie i na luzie, oglądaliśmy tak długo, jak starczało ochoty, potem gitara, śpiew i impreza...

Najważniejsze, że wszyscy mieli dobre humory, było mnóstwo śmiechu i dobrej zabawy.

Myszę, że oglądanie filmów na Otrycie to coś niesamowitego, drewno, świece, ogień na kominku, odludzie, brak cywilizacji i „duży ekran”... za oknem jesienne mgły, długie wieczory i połoniny... po prostu rewelacja, klimat pierwsza klasa. Bawiłam się świetnie.

Teraz wystarczy poczekać rok i następne - V Dni Filmowe na Otrycie, na pewno jeszcze lepsze i jeszcze bardziej udane...

KOMETA
Magda Kołodziejczyk

CZAS

Skończył się czas i czas odpłynął, trwało to chwilę, albo dwie, może przed rokiem lub godziną, a może minął cały wiek?

A może nigdy nas nie było, może to tylko śniło się?
Ze zgubiliśmy naszą miłość i został żal na serca dnie.

I świat gdzieś obok nas przepłynął, mnie zabrał Tobie, Ciebie mnie, dorastał ból jak stare wino i osiadł na zielonym szkle.

Juliusz Głowacki



miejsca... mocno zapamiętałem też uwagę Marka Kochana na Wańka Dziale, o jego doświadczeniu gdy kiedyś pojawił się z harcerzami w schronisku... iż szczelność i władanie "flaszkowej sekty otryckiej" - powiedział to inaczej, ale w tym sensie - czyni to miejsce dla innych po prostu odpychającym. (nie wiem czy ktoś próbował tam zasnąć bez picia, jeśli każda impreza kończyła się regularnie po 4.00 nad ranem). Poza tym mieliśmy już wtedy Henrykowy Wańka Dział, gdzie żadne kompromisy nie były potrzebne, i właśnie to miejsce dla wielu z nas na wiele lat stało się "kultowym". Tworzyliśmy jego charakter własnymi rękoma... ale o tym w innej opowieści.

Z "Leninem" wiąza się epizody jego propagandy ekonomicznego skrajnego liberalizmu - co mnie irytowało po prostu - nie dlatego bym był nawet socjalistą; oraz coś co mnie dotknęło już mocno, czyli pogonienia pewnego upalnego letniego dnia... zastępu harcerzy, biegnących na orientację - wyczerpanych i konających z pragnienia... po wodę... do Dwernika, gdy o nią poprosili. Długo potem się tam już nie pokazałem.

W międzyczasie... z kolowrotu próby adaptacji do ŻYCIA, JAK KAŻDY CZŁOWIEK - wyrwało mnie poczucie absurdałnego bezsensu, że żyjąc tak zdycham już za życia... monotonna praca po 9-10 godzin dojazd 1,5 godziny, dni wolne tylko by uprać i wyprasować koszule, permanentne poczucie znużenia, wieczór zdychania przed TV, jałowości takiej egzystencji

prowadzącej do nikąd. Poprosilem przełożonego o wcześniejszy urlop, albo wypadnie chyba mi się powiesić, jeśli tak ma wyglądać prawdziwe życie dorosłego mężczyzny. Otrzymałem go. Do tego nałożyła się "sprawa Karola" - znów wiedziałem... co mam zrobić, wiedziałem jak... i wiedziałem że potrzebna jest mi ku temu energia. Otrzymałem ją od "Istoty Ludzkiej" i tą sprawę udało się wtedy załatać, ze skutkiem jak się okazuje do dziś skutecznym. (Był to czas już wyraźnego mojego przenikania Innej strony obrazowania naszej egzystencji) Aby jednak zrównoważyć przesunięcia energetyczne, aby nie były szkodliwe potrzebne były "sily natury". Zimą pojechałem na Otryt. Tak poznałem Janusza z Zabrza - wtedy gospodarza Otrytu. Kilka wieczorów naszych dialogów w służbówce... otworzyło przede mną nowe horyzonty postrzegania procesów energetycznych przemian. Były to proste zdania, a ja nie mogłem wyjść z podziwu, nad trafnością jego spostrzeżeń. Potem już wiedziałem - tą wiązkę energetyczną, trzeba pozostawić przyrodzie... Idąc na Wańka Dział grzbietem Otrytu w stanie gorączki szukałem jakichś punktów zaczepienia dla jego słów, po wszystkim się jednak one tylko ześlizgiwały. Aż wreszcie znalazłem wielki, wydrażony w środku, pień wielkiego drzewa. Wszedłem do środka i tą energią starałem się tam zostać. Gdy doszedłem do chaty Henryka... gorączka minęła. Potem już jednak z tej nieświadomości odkrytej przeze mnie techniki przesunąć energetycz-



Co jeszcze - chodzenie po mleko do Chmiela. Też mi się podobało. Sama praca przy wyrębie - nie. Była tak niskobrotowa, że wręcz osłabiająca. Przeliczało się przeciekające godziny.

Na dłuższy czas był to koniec z Otrytem.

Po jakimś czasie - jednak wróciłem w Bieszczady i w toku swej wędrówki z namiotem trafiłem i na Otryt. Pamiętam, że chyba trafiłem akurat na "pe-

len" Otrycki skład. I wtedy postanowiłem... nijako w to wejść... na warunkach tych, którzy ten specyficzny klimat tego miejsca jednak tworzą, czyli pić na umór. Wtedy po raz pierwszy



w moim życiu i zresztą jedyny... tak się schlałem. Po prostu to było pójście na calość. Zakończyliśmy jakąś wielką imprezę jako ostatni... z Izą właśnie. Pewnie jedną z setek takiego kalibru, ani większą, ani mniejszą. Ale dla mnie największa, tak radosną. Pamiętam, gdy wyszedłem ze schroniska... zupełnie nie mogłem się nadziwić temu zjawisku - jak to jest że cały świat się kołuje, kręci wokoło, a ja mimo wielkiego wysiłku w żaden sposób nie mogę ustać na własnych nogach. Jak to się nazywało? Przypalanka Maruchy? Co za shit... na metry śmierdziało tłustą naftą (na bazie jakże sławnego Royała).

Ale procenty miało, a ja miałem za zadanie jakimś cudem dotrzeć do namiotu w połowie drogi do Arturówki. Doszedłem... na czworaka. Nigdy już potem tak się nie upilem, ale wtedy doceniłem i do dziś szanuje Ekstazytycznego Ducha Flaszki, jaki żyje w tamtym Miejscu. Taką alkoholową ekstazę, trudno gdzie indziej przeżyć. (nie wiem czy czasami nie było to tzw. święto Barana). Wielkim zrzędzeniem

losu było, że spałem w namiocie... rzygałem po tym wszystkim jak kot... a następnego dnia zrozumiałem co to... szatański kac. Ale nie rozumiałem tej technologii jego anihilacji... wg recepty Izy... klinem go. Następnego dnia sama nazwa "alkohol" wywoływała we mnie wymioty.

Mimo, że Ci co mnie znają wiedzą, że jestem raczej niechętny Otryckiemu Duchowi Flaszki i zamiany schroniska w czystą "chlejnię" (bo i takie czasy tam były) to jedno muszę stwierdzić... było w tym coś nieskazitelnie mistycznego i warto było tego doświadczyć.

Potem Otryt na wiele lat dla mnie zamarł.

Czas "Lenina" w tym schronisku... był mi mocno daleki. Rozpętanie pijaństwa w tym czasie, jako celu samego w sobie odstręczało mnie od tego



MÓJ PIERWSZY RAZ

„Riki-tiki”

Bieszczady od zawsze były dla mnie miejscem wyjątkowym, leżącym na krańcu Polski. Wyprawa w te male, acz malownicze góry zawsze kojarzyć mi się będzie z całonocną, kilkunastogodzinną jazdą w pociągu relacji Warszawa - Zagórz. Podczas jednej z takich podróży w listopadzie 2001 poznałem człowieka, który nauczył mnie grać kośćmi w „riki-tiki”. On też pierwszy wspominał mi o Chacie Socjologa.

Zawsze największą frajdę sprawiało mi chodzenie z plecakiem od schroniska do schroniska. Dawało mi to możliwość poznawania co wieczór nowych ludzi i nowego miejsca.

Mieliśmy w ten długi weekend listopadowy z kolegą ambitne plany wycieczkowe, ale nijak nie pasowało nam choćby przejście przez Otryt, który zawsze leżał z dala od uczęszczanych przeze mnie tras. Toteż pierwszy raz na podejściu niebieskim szlakiem od Dwernika znalazłem się dopiero w połowie sierpnia 2003. W Bieszczady przyjechałem wtedy na dwa tygodnie, więc po oprowadzeniu mojej dziewczyny i kolegów po wszystkich znanych mi miejscach postanowiłem zapędzić się w nieznane i z Koliby zamiast na Poloninę Caryńską ruszyć w stronę pasma Otrytu.

Pamiętam, że lato tego roku było wyjątkowo upalne i suche, we wszystkich odwiedzonych wtedy przez nas

schroniskach były problemy z wodą, to też byliśmy przygotowani, że i tym razem kąpiel pod prysznicem może nas ominąć. Lecz to, co zastaliśmy trochę nas zaskoczyło. Zamiast schroniska zastaliśmy dziurę w dosłownym tego słowa znaczeniu. Jak się dowiedzieliśmy stara Chata spaliła się kilka miesięcy wcześniej i właśnie trwało wylewanie fundamentów pod nową. Myślałem wtedy, że odbudowie schroniska patronuje PTTK lub coś w tym stylu. Na pierwszy rzut oka wyglądało wszystko całkiem fachowo, koparka, betoniarka, det i mnóstwo innych profesjonalnych sprzętów. Pomimo straszego upału mnóstwo ludzi z długimi włosami uwijało się przy wylewaniu betonu, chcieli najwidoczniej zdążyć przed wiszącą od dłuższego czasu w powietrzu burzą. Nie przyszła mi wtedy ani przez chwilę do głowy myśl, że Chatę odbudowuje banda zapaleńców, którzy nie mają o tym kompletnie żadnego pojęcia. Tym bardziej nie myślałem, że za rok dołączę do tej grupy, a Nowa Chata stanie się moim drugim domem, że porzucę chodzenie po górach na rzecz pracy przy wykańczaniu tego, jak mi się wtedy wydawało jednego z wielu bieszczadzskich schronisk.

Po obejrzeniu placu budowy postanowiliśmy ze znajomymi znaleźć miejsce gdzie moglibyśmy rozbić namioty, a następnie zrobić sobie posilek. Ka-



sia, jak się później okazało, ówczesna dziewczyna gospodarza chaty,(a wtedy to w zasadzie Lektorium?) pokazała nam miejsca, w których jeszcze kilka dni wcześniej stały namioty. W pamięć zapadło mi wtedy wypowiedziane przez nią zdanie „ale jak byście chcieli rozbić się gdzieś indziej to tylko powiedzcie, to przyjdę z kosą i wykoszę”. Chodząc, wraz z Kasią, w poszukiwaniu miejsca na mój namiocik poznawałem okolicę Otrytu. Dowiedziałem gdzie jest wiata, Lektorium, południowe ujęcie wody, w którym zresztą nijak nie dało się uświadczyc H₂O. Od razu miejsce to wydało mi się inne niż schroniska, do których do tej pory traślałem. Nie chodzi tu o spartańskie warunki, bo zdarzało mi się nocować w górach i pod gołym niebem tuż przy szlaku. Zaintrygowała mnie beztroska ludzi w tym miejscu. Nie przeszkadzały im zarośnięte ścieżki, rozpadający się mostek, góry śmieci piętrzące się przed Lektorium, nie było sztywnie wyznaczonych miejsc pod namioty, każdy rozbijał się gdzie chciał. Gdy zapytaliśmy się o wrzątek ktoś wskazał nam wiadro wody, drewno i „kozę” w Lektorium wydawało mi się wtedy , że w tym miejscu czas zatrzymał się kilkanaście a może i więcej lat temu. Brak prądu, bieżącej wody i jak okiem sięgnąć żadnych śladów cywilizacji. Gospodarz ze swoimi dredami komponował się idealnie z miejscem, jakby przybrał barwy ochronne. Był niedostępny, tajemniczy a jednocześnie intrygujący. Wziął od nas dokumenty, oplatę za nocleg i to był mój jedyny

kontakt z nim. Wszystko wokół toczyło się własnym życiem, nikt w zasadzie nie zauważył, że przyszliśmy. Byliśmy tego dnia jedynymi turystami. Widać było, że ludzie, których tu zastaliśmy są zgraną paczką, raczej zamkniętą na przechodzących ludzi. Wieczorem pod wiata była impreza przy ognisku, ale ze względu na zbliżającą się burzę nie zabawiliśmy długo. Jedyną osobą, którą wtedy zapamiętałem był Richey z Texasu. Pomyślałem sobie wtedy, ten to się musi tutaj dopiero dziwnie czuć. Następnego dnia rano wyszło słońce i po burzy nie było ani śladu. Rano zwinęliśmy namioty, zjedliśmy śniadanie i zeszliśmy do Dwernika. Spędziliśmy chwilę przed sklepem Doroty czekając na stopa i pojechaliśmy do Ustrzyk Górnych. Przez kolejne kilka dni, które spędziłem wtedy w Bieszczadach, wracałem myślami do tego miejsca, porównywałem je do odwiedzanych schronisk i intrygowało mnie co stanie na tych fundamentach, które z takim zapalem stawiali wtedy budowniczości chaty. Postanowiłem, że w następne wakacje, w trakcie wyjazdu w Bieszczady przyjdę na Otryt i zobaczę jak postępują prace.

P.S. Szukam osoby, którą poznałem w pociągu w długi weekend Święta Zmarłych w 2001 r., która nauczyła mnie grać w „riki-tiki”, a przede wszystkim zaprosiła na Otryt.

GROTEK
Marek Grotowski 2005



bardzo wiedziałem, jak się w tej przestrzeni wymiany myśli poruszać, z drugiej ten odczuwalny podział ról na "starych otrzycków" i "nieświadomych młodych", jakby z gruntu podział ról, budził moją otarta niechęć. Sprawiało to wrażenie jakiegoś zamkniętego kółka, do którego można się było dopisać bądź odpaść. Wybrałem to drugie... w połowie obozu... za zgodą prowadzącej tą eskapadę Izy Gutowskiej wyrwałem do W-wy na Róbrege, gdzie wreszcie mogłem się wykapać ogolić i być wśród tak mi bliskich młodzieżowych outsiderów punkowo - rastafarianskiej kontestacji. I wróciłem jak nowo narodzony. Znów w góry. Teraz nawet wszystko to wyglądało jaśniej, przejrzysiej. Męczyły mnie te konwencje zachowań grupowych, ale po prostu uświadomiłem sobie wtedy, że ja nie muszę już do tego należeć, a jedynie zrobić mam to, co do zrobienia mi tam pozostaje. I było już OK. Pamiętam, że wracałem z gór z wielkim smutkiem. Tym niemniej już potem nie zapisałem się ani do Klubu Otryckiego, co wtedy na naszym roku było powszechne, ani nie wciągnąłem się w ten zwyczaj wyjazdu na Otryt w ramach kultu "flaszki".

W skrócie, było to dość intensywne przeżycie - rację ma Kasia, gdy pisze o znacznych przetasowaniach uczuciowych, ale wg mnie były to mocno płytkie doświadczenia. Potem przyszedł rok akademicki i dla mnie Otryt jakby zamarł. Wciąż irytowała mnie kastowość i nieprzejrzystość duchowa tego środowiska, które rozwiązywało

podobne dylematy... otwarciem kolejnej butelki.

Kogo zapamiętałem? No oczywiście Izę - hm, co tu dużo pisać, Henryka, który próbował nadać obozowi celowy charakter, Olka Kaczorowskiego - tu dialog nie był bez sensu, Karola - który irytował wszystkich niezmiernie, ale który ściąganiem tej zbiorowej na siebie niechęci powoli niejako mimochodem rozpuszczał mój genetyczny wręcz antysemityzm, Malinę z pięknym głosem, właśnie Kasię z tajemniczym uśmiechem i tak wielu, i tak wielu.

Co zapamiętałem? Wypadki po zakupy - bardzo to polubiłem - pozwalało oderwać się to od głupiej dla mnie dyspozycyjności wobec obozowych prac... które dla mnie były nijakie, rozproszone, i raczej psychicznie męczące... na zasadzie zrób to, a potem tamto. Jeden taki wypadek z gościem w tym schronisku... że też do cholery nie zapamiętałem imienia. Pamiętam jak podchodziliśmy z ciężkimi plecakami z prowiantem na kompletnej bani, na jakimś tanim winie... ile w tym było poezji i radości. Oczywiście nic się nie zgubiło. Ale gromadnego picia jakoś nie lubiłem. Niejako wypadło dużo mówić... ja natomiast nie mogłem w tym wychwycić konkretów, a tak "kwiecieście mówić" po prostu nie umiałem. Oczywiście "Żubra", gdzie latały krzesła między pijanymi pilarzami, a my pochyleni nisko nad tarczami z zupą, byliśmy dla nich jak nietykalne pełne nieskazanej niewinności dzieci z "miasta".



Opowieść Romana

Z napisaniem tekstu o "moich" Bieszczadach nosze się od kilku już lat, a wygląda to w ten sposób, że im dłużej nad tym się zastanawiam, tym zdaje sobie sprawę, iż coraz więcej chciałbym w nim zawrzeć i tym trudniej dzieła się tego jest mi podjąć. Może więc tekst ten powstanie w częściach. Przecież to już tyle lat - od chwili gdy tam zawitałem, jak również od czasu, gdy faktycznie stały się one moim... spełnionym rajem na Ziemi. Takim na moją formę, ani za wielkim, ani za małym. Moją Mekką, którą jeśli nie odwiedzę kilka razy do roku, to "popadam w stany chorobowe". Nie potrafiłbym tam żyć, a jednocześnie wydaje się, że nie mogę się bez nich obejść. Może to efekt "wdrukowania" w moją podświadomość stanów wizyjnych z magicznych łąk? Może, ale inne miejsca nie załapały się na takie przełożenie.

No nieważne.

Kilka dni temu wróciłem z tych gór. Na Otrycie obok "3 towarzyszy" Ericha Marii Remarque - bardzo smutna i cholernie na czasie powieść - wpadł mi w ręce "sentymentalny Biuletyn Otrycki" - z jednej strony z relacjami z "zerówki" naszego roku akademickiego, z drugiej ze wspomnieniami Wojciecha Józwiaka, wspomnieniami o Olku Łazarskim itd. Coś we mnie drgnęło. Relacja Kasi Kaczmarczyk z Biuletynu Sentymentalnego wróciła tamten czas,

co pozostało z tego ciągu lat w mojej pamięci?

Rok 1988 to faktycznie pierwszy rok, gdy trafiłem do Schroniska Otryckiego, jako przyszły student IS-u w Warszawie. Jako adept... że tak się wyrażę, innej ścieżki rozwoju (choćby dlatego że kończyłem prawie całkowicie męskie technikum...) z jednej strony życie studenckie było dla mnie niezwykle odkryciem - np. ta nagła zmiana nastawienia... uczeń / student miał pełne prawo kształtowania charakteru dyskusji (!!!), z drugiej strony głęboką nieufność do tych konformistycznych z gruntu sposobów myślenia "intelektualistów". A pamiętajmy, że były to czasy Wielkiej Przemiany Systemów Wartości. Jakże świeżo to wtedy wyglądało. No nic, ale prawie darmowy, lub nawet płatny za w sumie symboliczną pracę wyjazd budził we mnie zainteresowanie i po prostu ciekawość. Spędziliśmy tam chyba ze 3 tygodnie... w strugach deszczu. Miało to tą zaletę, że każdego dnia gdy budziliśmy się, a za oknem wciąż lało to był oczywisty znak - Dziś nie pracujemy !!! - przepisy BHP. W sumie przepracowaliśmy może z 8 dniówek. Natomiast sam pobyt był dla mnie doświadczeniem naprawdę nowym. I znowu z jednej strony bardzo ciekawym... zaczęło się przecież od wykładów Henryka Kliszko do przyszłych studentów... i dysput takich było kilka. Wtedy nawet nie za



Słońce, muchy i proza życia

W Chacie miałem okazję przebywać latem 1988r. Przez trzy dni była to dla mnie i mojej obecnej żony baza wypadowa do wypraw obejmujących m. in. Otryt i jego zachodnie okolice w trakcie przejścia po Bieszczadach (od Ustrzyk do Wetliny). Co zapamiętałem? Hmm... pierwszy kontakt z Otrytem nie był zbyt przyjemny dlatego, że podchodziliśmy od strony Lutowisk w południowym słońcu z plecakami, namiotem i prowiantem na plecach. Myślałem, że odsłonięta betonowo - błotnista droga to najgorsze, co nas spotyka - aby do podejścia gdzie cień drzew ochroni przed upałem. Niestety najgorsze spotkało nas na podejściu - rzuciły się na nas chmary much i chyba jeszcze jakieś inne owady - były wszędzie, wlażyły do oczu, uszu, nosa, kąsały gdzie popadło. Aby jakoś przetrwać trzeba było osłonić całą głowę czymś w rodzaju turbanu z bluzy dresowej zostawiając tylko małą szparkę na oczy. Jak się czulem chyba możesz sobie wyobrazić, dodam tylko, że upał był w granicach 30 st. C w cieniu i zero wiatru... Tym bardziej czulem się szczęśliwy, gdy dotarliśmy w końcu do chaty. Jak się później okazało droga, którą podchodziliśmy to stała trasa zaopatrzeniowa, po której wjeżdżał (a właściwie wspinał się) mieszkający chyba na stałe(?) na górze koń i właśnie na niego czyhały te insekty (swoją drogą współczuję osobie która towa-

rzyszyła koniowi - a może miała jakiś sposób na owady choć o OFF-ie nikt jeszcze wtedy nie słyszał). Zresztą nie wiem może po prostu mieliśmy tego dnia pecha. Co do atmosfery w chacie to nie wiele mogę powiedzieć bo po pierwsze nie wiele pamiętam a po drugie spaliśmy w namiocie bo w chacie nie było miejsca. Ludzie z chaty żyli jakby w innym tempie, bardzo wyluzowani i chyba mylili im się pory dnia tzn. dzień z nocą, ale być może tylko sprawiali takie wrażenie. Wtedy jeszcze przez Otryt nie prowadziły żadne szlaki turystyczne (teraz pewnie już są?) i był to chyba jeden z nielicznych kawałków Bieszczad gdzie można było iść cały dzień i nie spotkać żadnego człowieka. Jeśli chodzi o sam Otryt to poza pięknym lasem pamiętam duże polacie krzewów dzikich malin o niepowtarzalnym smaku, wyschnięte źródło, na które bardzo liczyliśmy (tak to jest jak się zaufa mapie) i miejscowych ludzi zbierających jagody, którzy w tej sytuacji nam pomogli częstując pysznym kompotem oraz strome zejście do Sanu, przez który później przeprawiliśmy się wplaw... Chętnie bym tam wrócił dzisiaj (nawet muchy by mi nie przeszkadzały), ale jakoś od 12 lat nie udało mi się wyjechać w góry na urlop - cóż dopadła mnie proza życia.

Piotr Dowżenko
2001



Zapiski z obozu dla roku zerowego
Wydziału Socjologii UW
w „Chacie Socjologa” (Otryt, 1985 r.)

28 sierpnia

Poszedłem do redakcji *Colloquii Communii* na zebranie Klubu Otryckiego w związku z obozem górskim. Trochę osób, większość z socjologii. Jeden znajomy, siedział obok mnie na piśmiennym egzaminie z polskiego¹.

1 września

Dziś wyjazd. Wstaję o piątej. Na dworcu jest Artur², kierownik obozu i jeden z nas, zerówkowiczów, Jarek Kilias. Powoli schodzi się reszta (ostatecznie jest nas czternaścioro).

Wsiadamy do „Soliny”, ale okazuje się, że te wagony odłączą w Przemyśle, więc przesiadamy się (a jest z tym trochę kłopotu).

Do Ustrzyk Dolnych przyjeżdżamy o szesnastej (wcześniej przez 50 minut przejeżdżamy przez administrację sowiecką). Idziemy do „Restauracji Turystycznej” a potem wsiadamy w pekaes i jedziemy do Dwernika. Widzimy wystawę rzeźb „Bies i czady”³. Wlazimy na Otryt. Chociaż mam plecak i żadnej wprawy, zasuwam z Kiliasem. Nieźle nam to idzie. 18.20 - jesteśmy. Scho- dzimy pomóc innym nieść plecaki i znów wszystkich wyprzedzamy. Chata jest fajna. Mieszka tu Witek⁴ (od trzech

lat) i teraz Henryk⁵ (od statystyki z Socjologii). Pierwszy wieczór, gitara. Idziemy spać o 23.00.

2 września

Mgła. Trzeba zejść do Lutowisk po prowiant. Artur wybiera oczywiście mnie i Kiliasa. Zejście jest ciekawe, miejscami trudne. 45 i 32 min. Kupujemy dżem, makaron, chleb itd. oraz sześć butelek *Krakusa*. W restauracji „Pod Żubrem” zamawiamy flaki i po dwa piwa kufłowe. Tu przeczekujemy burzę. Podejście jest okropne, mokro, ślisko, ale mimo to idziemy szybciej. W Chacie czeka na nas barszcz. Wieczorem w sali kominkowej głośne czytanie Herberta. Wieczorem odwiedzają nas tubylcy. Zapoznają się z kulturalnym pićciem na Otrycie:

- Piję ku tobie (perswaduję w twoje ręce).

- Bynajmniej nie jest mi to obojętne.

Krakus jest okropny, ale śpiewa się fajnie.

3 września

Rano rąbiemy drzewo. Inni idą na wycieczkę nad San. Jest piękne słońce, opalam się więc i czytam książkę. Krę- cą się ciągle turyści. Potem schodzimy do Chmiela, gdzie przy szosie spotykamy się z całą grupą. Ma przybyć wóz z transportem z Uniwerka, ale nie

¹ Marek Parzydło, czyli Małutki, prezes Klubu od 1987 r.

² Artur Grudziński, przyszedł prezes Klubu.

³ Na terenie posiadłości rzeźbiarza Mariana Hessa.

⁴ Witek Bychawski, gospodarz Chaty.

⁵ Henryk Banaszak, dyrektor Instytutu Socjologii UW.



Po latach stajesz w światłach zniekształcających ci rysy
szakal udający przemysłowca starej daty
Świdrowany wspomnieniem młodych spojrzeń w słońce.
być teraz tutaj i widzieć
że w zaprzęgu ciągnącym mały wózek
podążasz do stajenki gdzie rozkażą ci słowa i czyny
czy już umiesz je przyjąć? -
i spokojnie jeść siano
zawieszony ponad wodami, wtedy i teraz
Dziś rozkazy cichną oblekając rdzę poloniny.
Odfruwam od słowa "dziś" potem
nad postaciami stamtąd, czasem, krokwiemi zdarzeń,
dalej - dalej, aż nie ma już pode mną wód.

Joachim Biernacki

* * *

Zeszliśmy z góry
mokra trawa miała zapach dziecińczych zabaw.

I przystanęliśmy na drodze,
która nie była już wspólna.

Ludzie znikli, słowa schowały się w czasie.
Każdy twój oddech jest pociskiem
wystrzeliwanym przeciw armii naszych marzeń
snującej się jeszcze jak aureola.

Trafione
marzenia uciekają do naszych ciał
zamieniając nas w dwa papierowe latawce
szybujące ponad lesistymi szczytami
w ciągłym lęku przed zawiśnięciem na drzewie.

gwar miejsc, gdzie razem byliśmy rozdziela nas jak nieznajomych.

Joachim Biernacki



Okolo 1979 roku PGR rozpoczął budowę pracowniczej przystani żeglarskiej w głęboko ukrytej zatoczce nad zalewem Solińskim. Jurek miał się przystanią opiekować. Barakowóz i ognisko, a zimą camping z elektrycznością i kawał drogi przez zasy lub po lodzie zalewu do stajni. Po trzech latach nigdy nie ukończonej budowy hangaru musiał to miejsce opuścić.

Kolejnym przystankiem było SKORODNE. Nieużywany OZ (z którego nie zdążyli skorzystać więźniowie). Kilkanaście zakratowanych komnat, po których hulał wiatr. I tu też nie było szans zostać na dłużej.

To w CHREWCIĘ zdarzyła się Jurkowi przygoda z żeglarsstwem i zaczęła wielka przygoda z końmi. Kara Magda i myszata huculka Inka, nierozłączne i wiecznie gdzieś wędrujące były radością i utrapieniem.

"Uwiązałem Inkę w południe na łące, Magda nie odejdzie przychodzę na wieczór krew mnie zalala łańcuch urwany, koni nie widać.. Powiedziałem wio i hajda na Olchowiec na przemian ziąjam i wołam ani słyhu ani widu obleciałem wszędzie, nie ma. Idę ja do stajni by zrobić im żarcie gdyby czasem przyszły w nocy patrzę a one stoją sobie jak by ich kto przywiązał



,opychają sianko .Jak wszedłem cicho zarżały jak by wiedziały ze należy uszanować ciszę wieczorną i obróciły się lbami do mnie i coś tam chciały mi powiedzieć a ja z tej radości skłąłem je i szybciotko zrobiłem obrok i za chwile było tylko słyhać mlaskanie..."

Potem była Roślinka, Myszka, Maciek. Rajdy po Bieszczadach i podróż konno do Jeleniej Góry i z powrotem. Kresowy Klub Jeździecki i plany podróży dookoła Polski.

Najdłuższy, dwudziestoletni etap to BIAŁA STAJNIA pod Otrytem. Pozory stabilizacji, żona, ukochany synek. Jednak wszystkie te Jurkowe domostwa, mimo niepowtarzalnego klimatu sprawiały wrażenie tymczasowości, bo żadne nie było tym własnym, wymarzonym domem.

Wreszcie etap ostatni - pokój w hotelowym baraku w Smolniku, gdzie Jurek bardzo już schorowany i bardzo samotny czuł się jak wilk w klatce.

"Niewielu nas zostało a resztę zabierze czas..."

Żegnaj Jureczku.

Eta Zaręba

(Autorka albumu fotograficznego BIESZCZADY) czerwiec 2005



zjawia się (dopiero w nocy). Wracamy innym szlakiem.

Śpiewamy do północy.

4 września

Ulewa. Wilgoć. Targam z ujęcia dwa wiadra wody. Znow schodzimy po prowiant: Kilias, Heniek i Jurek Szczupaczewski - redaktor naczelny *Colloquii Communitii*. Leje i jest błoto a ja mam czapkę zamiast kaptura. Przemoczeni, jemy pod *Żubrem* żurek i jajecznice. Piwa nie ma, bo... nie ma prądu.

Przybywa Marek, ten, z którym siedziałem w ławce na pisemnym egzaminie z polskiego.

Teraz i ja gram na gitarce (dwa numery Grzesiuka).

5 września

Z Kiliasem i Arturem pracuję przy północnym ujęciu wody. Robimy tam drewniane stopnie. Tniemy gałęzie, które po obróbce siekierą montuje w ziemi Artur. Marek z Heńkiem tachają kamienie. W kilka osób idziemy na Trohaniec, ale Heniek nie znajduje szczytu.

Schodzimy potem do Jurka Dwutyśięce, którego widzieliśmy 1 września w pekaesie. Nosi beskidzki kapelus. Piękny pokój (skóry i poroża na ścianach), pijemy herbatę.

Cztery osoby nie wracają na czas na Otryt. Jest już noc a oni nie mieli laterek. Wieczór dość smutny.

6 września

Wrócili o północy.

Pod wodzą Heńka robimy (od godziny siódmej do siedemnastej) wyprawę: Ustrzyki Górne - Polonina Caryńska - Magura Stuposiańska - Dwernik. Mgła, widoki tylko przed Magurą, a potem ulewa. Bierzymy kąpiel w *lektorium*.

7 września

Pogoda w kratkę, pada nawet grad. Mam dziś całodniową wachtę z Markiem i Magdą⁶. Wieczorem dzielimy się na dwa obozy: Mlekopijów i Krakusów. Dyskusja wspaniała. Siedzimy do trzeciej nad smakolykami.

8 września

Niedziela. Część dziewczyn organizuje sobie „mszę”. Spotkanie organizacyjne: Jurek jest niezadowolony.

Gramy w piłkę: Studenci (Artur, Leszek⁷ [prezes], Jarecki⁸ [filozofia] i Marek Kowalski [socjologia]) kontra Zerówkarze. Wynik 5:3. Robimy zbiórkę drewna. Heniek opowiada nam o studiach na socjologii.

9 września

Artur i dwie osoby wyjeżdżają. „Gaśienicowo” zbieramy wodę. Zejście do Lutowisk. W restauracji spotykamy Marka Komandosa. W sklepie nie ma warzyw, więc Jurek i chłopcy jadą do Czarnej a ja z towarem wracam SAM.

Pierwsza dyskusja filozoficzna. Losujemy kto ma z Witkiem jechać do Sanoka. Pada na mnie.

⁶ Magda Pietranik, niebawem członkini Klubu.

⁷ Leszek Filipowicz, ówczesny prezes Klubu.

⁸ Jarek Frąckowiak, niebawem prezes Klubu



10 września

Do Sanoka nie jedziemy; pogoda okropna. Z Jareckim zbieram zablocone drzewo. Sami je rżniemy i rąbiemy. Czytam na górze pożyczoną *622 upadki Bunga* Witkacego. Prelekcja o komunach w USA. Nawet biorę udział w dyskusji.

Śpiewam też stare country.

11 września

Heniek z grupą idzie na wycieczkę; Jurek Szczupaczewski, Marek Parzydło, Jarecki i ja idziemy na Skorodne na wypas. Marek Komandos zerżnięty w sztok. Pijemy, siedzimy, rozmawiamy u Bartka Przekornego - Piotra Brzezińskiego, poety i mitomana.

Urodzony w 1934 roku na Targówku (ul.Mokra). Internowany w 1979(?) do Sierpnia. Kolega szkolny Wisławy Szymborskiej (na podstawie rozmowy z Bartkiem).

Piwo, grzaniec wina, miódzik, parówki i ser topiony. Słuchamy radiowej transmisji z meczu Belgia-Polska (0:0). Oparzyłem się herbata, Bartek leczymnie dotykiem (skutecznie!).

- Co ty tam piszesz? - (gdy przepisuję sobie jego wiersze z gazet).

Odchodzimy, jego postać w drzwiach, pod światło.

Wracamy w nocy na cyku. Adidasy mi się rozlatują, więc wchodzę na Otryt... w samych skarpetkach (po raz pierwszy w historii?).

12 września

Marek Kowalski wyjeżdża. Na dwudniową wycieczkę idą Jurek, Marek Parzydło i Jarecki.

Nosimy wodę gąsienicowo. Wilgoć, mgła i deszcz. Skrajne nudy, dekadentyzm. Nawet nie ma ognia w kominku. Żyjemy od posiłku do posiłku. Dziś nawet nie żal wyjechać.

13 września

Rano wstaję z Kiliasem. Rozmawiamy jeszcze z Henkiem i wyruszamy do Dwernika. Błoto cholerne, boimy się, że nie zdążymy na pekaes. Jedzie z nami też Witek. O dziesiątej jesteśmy w Ustrzykach. W „Turystycznej” siedzimy nad herbata. Żegnamy się z Witkiem i jedziemy pekaesem do Przemyśla, gdzie wsiadamy w pociąg i o dwudziestej trzeciej jesteśmy w Warszawie.

Grzegorz Piórkowski

Droga

przemyślenia o życiu po latach spędzonych na pustelni w górach - Otryt

Widzisz górski strumień

Płynący środkiem ścieżki?

To nasze życie płynące bez ustanku

Nie bój się

To tylko "troche wody" - eliksiru życia

Boisz się przejść? Chcesz zawrócić?

Dziś wiesz lepiej niż ja

Że nie tak łatwo zejść

Z raz obranej drogi

Kuba Drohomirecki

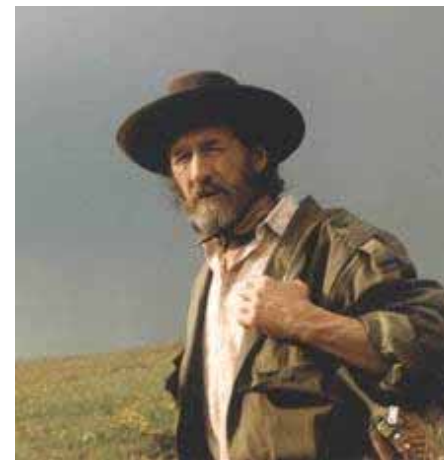


docznie znudzony moją karykaturą odwrócił się i odszedł majestatycznie, pokazując mi dupę".

Żył jak chciał. Umiał patrzeć. I widzieć.

Wynajdywał sobie różne zajęcia, był niezwykle pracowity i niewiele było rzeczy, których by nie potrafił zrobić.

A trzeba było urządzać kolejne domy, budować komórki i stajnie, robić siano, sadzić drzewa, hodować króliki, kury czubatki, kolejne psy, koty i konie... Nie znosił tylko narzuconej, przymusowej pracy. Zodiakalny Strzelec, trudny we współżyciu za



to bardzo towarzyski, zawsze gotów do pomocy, przyjaźnił się ze wszystkimi. Przez jego otwarty (dosłownie) dom przewijali się różnej maści bieszczadnicy, drwale, wozacy, leśnicy, ale też koniarze, turyści, żeglarze, filmowcy, artyści.

Z czasem dom stał się składowiskiem mniej lub bardziej dziwnych przedmiotów od zębów mamuta, przez wszelakie końskie akcesoria i zwierzęce czaszki po stare żelastwo. Wszystko mogło się przydać. Jurek pochłaniał książki i poezję, pisał piękne listy, robił zdjęcia. Miał wyobraźnię, fantazję i niezwykłą wrażliwość na przyrodę.

"Nie poszedłem na drugą stronę polonin było za pięknie by zejść na dół. Byłem pod Smerekiem mgła jak cholera, gdy wyszedłem wyżej śliczne słońce, w dole dywan mgły klebiącej się, nie zabrałem aparatu trudno i w sekundzie zmiana nagły poświst wiatru ciemno i zaczął padać śnieg, zabluzni-

łem z cicha miałem już schodzić do Wetliny, uciszyło się słońce znów się pokazało,

zaryzykowałem i poszedłem wzdłuż Wetlińskiej, na siodle pod Wetlińską rozpalilem ognisko. Jak było fajnie w słońcu i przy ogniu. Tylko jeszcze brakowało kruków. Ale te

jodły i świerki pod czapami śniegu iskrzące tysiącami świateł, zapierało dech w piersi, a światło to nie dawało spojrzeć na siebie dłużej tyle tylko jak mgnienie oka, ból przejmował do szpiku kości."

Bieszczadzkie przekleństwa w wykonaniu Jurka brzmiały jak komplementy. Pod spodem była serdeczność i delikatność. Pił często ponad miarę i nie zawsze było to picie radosne, ale zawsze "grzeczne". W niezapomnianej knajpie w Dwerniku, "Pod Żubrem" w Lutowiskach, u "Żyda" na Chrewcie i w niezliczonych bieszczadzskich "przystaniach"...



skórzanych fartuchów hutniczych, z których Jurek uszył sobie długie buty..

W roku 1978 za namową Jurusia S. zdałem na socjologię. W Bieszczadach zatrzymałem się u Jurka, który zamieszkiwał w Zatwarnicy. Rezydowali u niego chłopaki z Cuntry Family, co pozwalało na spokojne picie z „zagrychą” bo po każdym występie po hotelach robotniczych była kasa i wódeczka. (ja nie śpiewałem, Iza Jastrzębska nie doceniała mojego zapалу) Podczas kolejnej imprezki Jurek zapytał mnie: „Komisarz, a co ty teraz porabiasz?” „Zdałem na socjologię!” - dumnie się napuszylem. Zrobiła się cisza. Dwa

Jurek Dwa Tysięcy - odszedł Bieszczadnik

wspomnienie Ety Zreby

18 maja 2005 roku zmarł w Bieszczadach na zawał serca Jerzy Świtalski - JUREK 2000.

Urodzony w 1939 roku w Sokalu. Wojnę przeżył na Syberii, młodość w Rzeszowie i Sosnowcu, gdzie zostawił żonę i córki. Z początkiem lat 70-tych przyjechał na stałe w Bieszczady. Mieszkał w Rajskim, Rosochatem, Lutowiskach. Był kierowcą.

Kiedy poznałam Jurka w 1976 roku miał pokój w Zatwarnicy i pracę w nadleśnictwie. Spychacz często jednak stał w krzakach, a Jurek... chodził swoimi drogami. A raczej nosiło go. Po poloninach, chaszczach, potokach. Dniami i nocami.

"Jakiś niespokojny duch wlał we mnie że nie mogę usiedzieć ani chwili

Tysięce pokiwał głową, pomruczał coś o Heniu K. „A wiesz co to jest socjologia?? Sranie w banie!” I przypijając do Słomy dodał z żalem: „A tak się dobrze zapowiada!!!!”

KOMISARZ

p.s. Gazeta Wyborcza zrobiła kiedyś wywiad z Dwa Tysięce o Bieszczadach i ludziach. Dziennikarz zapytał Jurka, co jest ważne? jaka jest dla niego cecha człowieka gór? Odpowiedź była: „być grzecznym...” Jestem pewien, że nam z miasta trudno zrozumieć, jaki ładunek wartości niesie to stwierdzenie

można mnie spotkać w jeden dzień w kilku różnych miejscach. Jakbym wilkiem był i to wszystko co mnie otacza chciał pożreć!"

Jurek 2000W nieodłącznym kapeluszu, ("Mam kłopoty z kapeluszem. Każdemu się podoba i chcą mi go buchnąć. Fajnie już sobie pływają w potoku, trochę ściemniał...") podśpiewując, wciąż gdzieś biegł. Zawsze przecież można było coś ciekawego zobaczyć, coś znaleźć: wiekową lipę, zrujnowaną cerkiew, wyjątkowy wodospad, gniazdo jarząbka, trop niedźwiedzia, lanię poszarpaną przez wilki: podpatrywać zwierzęta. "Widziałem dzisiaj ślicznego koziołka, nie się nie bał, staliśmy spokojnie i przyglądaliśmy się sobie i po chwili dopiero wi-



Bieszczadzka Góra

Niewysoka i mało poszarpana
Delikatnie wybrzuszona
Pokryta cienkim meshkiem buczyny
Lub gęstym zarostem jodły

Miękkie połacie plastycznego ciała
Łagodne z perspektywy
Po wnikięciu potrafią zmęczyć oddech
Pod wprawnymi palcami
Mogą się zamienić w kształt dowolny

Twarda w lecie i na mrozie
Mięknie cicho na wiosnę
Zawłaszczając buty wędrowcy
Oblepiając niewprawnego piechura
Konservując ślady niedźwiedzi

Na pozór łagodna i skromna
Pochłania chęci pragnienia
Pozostawiając w zadumie
Wędrowca na szczycie...

Igor Czajka

Upadek

Tu nie ma miejsca na skaliste turnie
Może oprócz tych paru kamieni
Wystających z grani Polonin

Tu nie ma miejsca dla szalonych kozic
Przyklejających się do skał pionowych
Utonęłyby w błocie o poranku

Tu niedźwiedzica wyjada resztki z ogniska
I służy za wytłumaczenie podbitego oka
Puszczyki koncertują po północy
A ryk jelenia poprzedza odgłos strzału

Dym z wypału ściele się w dolinie
Tłumacząc las każdego roku bardziej doświetlony
Powietrze nieprzyzwoicie czyste
Odbiera po cichu
Uroki leczenia kaca

Demony Zimy
Nieodmiennie przypominają o sobie
W ciepłych kapciach pokoju
Po każdym powrocie do miasta

Igor Czajka



Jurek Dwa Tysięce

wspomnienie Komisarza

Długo nie docierało do mojej świadomości takie pojęcie jak PRZEMI-JANIE. Kiedyś Klichó zmusił mnie do przeczytania pracy Ingardena o relacjach między postawą życiową człowieka a jego odczuciami związanymi z upływem czasu. Chyba całe lata przeżyłem lekceważąc kartki z kalendarzy, fetę związane z „nowym wiekiem” Uplywający czas nie stresował mnie i nadal mam poczucie zrównoważonego bilansu jaki odczuwam, kiedy pewne sprawy odchodzą w przeszłość a zdobyta wiedza i poczucie zrozumienia tego, co się wokół nas dzieje pozwalają zachować wewnętrzny spokój.

Świeżość wspomnień, pamięć barw i zapachów pozwalała ciągle zdumiewać się, kiedy ktoś z Was, ze śmiechem przerywał rozmowę wołając: komisarz to było 10 lat temu!... Było? Dlaczego coś było? Przecież pamiętamy, a często nosimy bagaż pamięci innych osób. Nie powinniśmy dzielić wspomnień na złe i dobre Wszystko co się wydarzyło w życiu każdego z nas budowało i buduje nasze Ja.

Sądzę, że wielu z nas spotkało na „drodze życia” kogoś, kto wywarł swoją osobowością wrażenie, piętno, przekazał system wartości czy nawet pokierował na długie lata życiem innego człowieka. Często wracamy pamięcią do zdarzeń związanych z tą osobą, mając poczucie wdzięczności za pokazanie innego świata, za wzruszenia, jakie pamiętać będziemy do kresu.

Odejsie Jurka Dwa Tysięce jest dla mnie jakimś szokiem, traumą... Młodszemu pokoleniu Otrytczyków spróbuję w Chacie opowiedzieć o Nim, przedstawić postać Bieszczadnika, który znalazł już nieśmiertelność literaturze o Bieszczadach i jako bohater filmów.

Nauczył mnie wielu rzeczy o lesie, umiejętności radzenia sobie w trudnych sytuacjach, obsługi i budowy broni, polowania. Miał ogromną wiedzę i szacunek dla przyrody. Być może wyniósł te cechy z Syberii? (nie dookończył mi przed laty tej opowieści.) Cieszył się przez dziesiątki lat szacunkiem ludzi, niezależnie jak długo przebywali w Bieszczadach. Za swoją niezależność, poczucie wolności przeżył bardzo przykre chwile nękany przez milicję i SB. Szacunek, którym go darzono, nie miał tutaj żadnej proporcji do jego statusu ekonomicznego. Był prawdziwym osadnikiem, Bieszczadnikiem do końca. Myślę, że dołączył do Jędrusia Poloniny, Radosa Króla Gór, wielu fantastycznych ludzi, których odejsie faktycznie zakończyło erę „romantycznych Bieszczadów”.

W roku 1976 siedziałem z Rekinem, Swinią, Norbertem Wasilewskim na bazie studenckiej pod Dwernikiem Kamieniem. Baza była opanowana przez bieszczadzskich turystów i włó-



częgów (studenci nie wytrzymywali imprezy nieustającej). Świnia zaprosił na urodziny również Jurka Dwa Tysięce. Przyszedł przez przełęczkę, z córką i dwoma wilkami, które prowadziły go od Zatwarnicy aż do krawędzi lasu nad Nasicznym. Nie miał dobrego humoru i ściągnął kapelusz poprosił mnie o coś do picia. Biegiem przyniosłem duży kubek kompotu jagodowego, stałej „zapijki” bazowej. Popatrzył na mnie i wycedził przez zęby: ty, Komisarz, ty dopiero uczysz się Bieszczadów, ale żeby próbować mnie otruć... krucy... lepiej siądź dalej!

Rekin już rozlewał spirytus- wyciągnąłem rękę po swoją kolejkę i Jurek wrzasnął - „nie dawajcie mu gorzałki, bo jeszcze coś wymyśli gorszego!”

Strasznie chciałem zrehabilitować się tego wieczoru i wpadłem na świetny moim zdaniem pomysł. Przypadała tego dnia moja kolej opieki nad „magazynem” żywnościowo - napojowym. Wcześniej zebrałem wyrazy uznania za zdobycie w masarni w Ustrzykach 6 kg kielbasy. Tylko starzy turyści rozumieją, co to był za czyn... Takie rzeczy uzyskiwało się na „kwit” wystawiany przez Naczelnika Gminy. Towar polityczny! Postanowiłem uszlachetnić posiadany alkohol. Z Warszawy przywoziłem podarowaną

mi buteleczkę ekstraktu „Trojanka Litewska” - to była wtedy nowość... Oczywiście nie czytałem ozdobnej karteczki z przepisem stosowania. Rozlałem wszystko do półlitrowek spirytusu. Złapały taki ładny seledynowy kolorek. Wyniosłem flaszki do potoku i oczekiwałem na imprezę.

Przy ognisku siadło paru ludzi miejscowych: Jurek, słynny Witek Gontaszewski specjalista od demolek DT-em, Teodor Tucki, goście z Poloniny Wetlińskiej, leśnik Flak i całe grono rezydentów schronisk i baz. Przyszła

kolej na „wódeczke”. Kieliszek obszedł parę osób i doszedł do Jurka. Wypił, zamarł. Nie strząsnął stopki spojrzał na tych co pili i zapytał: „czemu to czuć sianem?!” Świnia wyrwał flaszkę powąchał, popatrzył pod światło. Komisarz???

Na to ja, - chłopaki, to jest słynna „trojanka”!.. Następnie Jurek zapytał „masz inna flaszke?” Przyniosłem. Rekin

pobiegł sprawdzić pozostałe. „Zabijcie go!” zawył Dwa Tysięce, ale ja już gnałem na oślep na dół do Nasicznego. Żona Flaka dwa dni ukrywała mnie w stodółce... Trudne były moje kontakty z Jurkiem przez cały ten sezon. Uratowało mnie ściągnięcie dwóch

